

ZAPISKI AKTORKI

Śmierć zagrać radośnie

Miałam wtedy sześć, może siedem lat. Mieszkaliśmy na Filtrowej w „aktorskim domu”. Nie, to nie był Dom Aktora ani żaden pensjonat. To taka kamienica w Warszawie, gdzie mieszkania przeznaczone były dla ludzi teatru. Mieszkali tam... ale to temat na inny dzień. Chcę opisać pewien obraz z życia tego domu – jeden z tych, które dobrze sfotografowała pamięć dziecka. Piliśmy herbatę po obiedzie, kiedy moja mama najpierw zaczęła czegoś uważnie słuchać, potem zerwała się z miejsca i z okrzykiem – „Mój Boże, Pani Lena!” – wybiegła na klatkę. Dobięglszy do otwartych drzwi zobaczyłam coś przedziwnego. Na każdym pięttrze stało kilku lokatorów, którzy wychyliwszy się przez poręcz patrzyli w dół. Wyglądało to tak, jakby ktoś skoczył z ostatniego piętra na parter, więc z pewnym lękiem pochyliłam głowę. Na dole kołysał się w takt dziwnej zawodzącej melorecytacji wielki, czarny kapelusz.

Nigdy nie widziałam tak niezwykłego kapelusza ani nie słyszałam takiego głosu: jakby prośba cyganki – ale cyganka w kapeluszu? Wpatrzona w niezwykle obraz wyobrażałam sobie jakąś to piękna, ekscentryczna kobieta musi kryć się pod tym tajemniczym nakryciem głowy, z jakich prowokujących, jaskrawoczerwonych ust płynie ta nieprzerwana melodia. W pewnej chwili kapelusz zaczął skłaniać się ku posadzce odsłaniając powoli twarz, która zwróciła się ku górze. Nie, nie było karminowych ust, nie było klasycznych rysów. Wszystko duże – czoło, nos, zdziwione oczy wpatrzone w grupki stojących kolegów.

– „Dzień dobry, Pani Leno” – zadzwonił głos z któregoś piętra. – „Dzień dobry, Pani Leno” – spadały teraz pozdrowienia z różnych wysokości. Długie brwi uniosły jeszcze bardziej w górę wielkie, zdumione oczy. – „Dzień dooobry” – powiedziała kobieta podnosząc rękę. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś mówiąc tak cicho powiedział tak głośno. Potem weszła do jednego z mieszkań na parterze.

Kilka miesięcy temu były moje

urodziny. Ojciec wręczył mi książkę mówiąc – „To jest najpiękniejszy prezent”. Była to książka Grodzickiego o Eichlerównie. W środku dedykacja aktorki. Trzeba było zadzwonić, podziękować. Nie umiem opisać mojej tremy – była tak wielka, że napisałam sobie na kartce parę zdań, które miałam powiedzieć.

– „Halooo”... – w słuchawce zabrzmiał tak samą śpiewny, choć o wiele wyższy i cichszy głos. Przedstawiłam się i... to wszystko, co zdążyłam powiedzieć. Pani Lena mówiła. O tym, że już nie chodzi do teatru, bo nie najlepiej się czuje, ale śledzi wszystko w telewizji, że wprawdzie nigdy nie grała Shakespeare’a, ale trochę się na tym zna, więc co nieco mogłaby powiedzieć. Mówiła o swoich kłopotach ze scenografami, z reżyserami... Kiedy skończyła, bąknęłam że mam pewne problemy... – „Problemy? Niech Pani nigdy o tym nie opowiada! Proszę się w domu, w poduszkę wyplakiwać, ale w teatrze pokerowa twarz! I niech Pani do mnie dzwoni, gdyby coś Panią gnębiło. Do widzenia”.

Położyłam słuchawkę i zaczęłam czytać książkę Grodzickiego. Nigdy bym nie pomyślała, że Jej pierwsze sezony to taka ilość drobnych ról w tak błahych sztukach! Dopiero ona nadawała im... Zadzwonił telefon.

„Mówi Irena Eichlerówna, odszukałam numer Pani telefonu, bo nie mogłam się powstrzymać, wzięłam egzemplarz *Romea i Julii* i pracuję. Więc tak: zacząć cicho, spod serca, skończyć głośno i też spod serca. Śmierć zagrać radośnie – nikt na to nie wpadł, szlag wszystkich trafi”.

Te słowa cytuję dosłownie, nigdy ich nie zapomnę.

Ach Pani Leno! Gdybym ja umiała mówiąc tak cicho, powiedzieć tak głośno... Wczoraj wiadomość o śmierci Eichlerówny. Znowu ktoś zostawił nas samych.

Joanna Szczepkowska